

Jak dawno poznała Pani Witolda Lutosławskiego?

To były lata stanu wojennego, trudny czas. Lutosławski szukał wtedy kontaktu z ludźmi z różnych dziedzin sztuki, zaangażowanych w życie społeczne. Odczuwał potrzebę przyłączenia się do ludzi będących w opozycji do władzy. Nigdy nie był radykałem, ale bardzo uważnie śledził wydarzenia publiczne. Jego kontakty ze światem były na ogół umiarkowane, pochłaniała go własna twórczość i życie muzyczne. Tak zwana codzienność była na drugim planie.

Pani z mężem, Arturem Międzyrzeckim, była z kolei właśnie w tym czasie bardzo czynna.

Tak się złożyło. Połączyło nas to i stało się początkiem zażyłej znajomości, a może nawet przyjaźni, jeśli mogę to tak nazwać. Byliśmy razem w Komitecie Obywatelskim Lecha Wałęsy, znaliśmy się i spotykaliśmy się na zebraniach.

Lutosławski miał bardzo bezpośredni sposób bycia. Pewnego dnia po prostu zadzwonił do nas i powiedział: „Przyjdźcie do mnie wieczorem”. Zaprosił nas wtedy z Adamem Michnikiem. Pierwsze, co nam zaproponował, to żebyśmy przeszli na „ty”. Było to dosyć zaskakujące, ów gest świadczył, że dopuszcza nas do pewnej bliskości, że ma do nas zaufanie.

Dla niego to nie było nieznaczące zachowanie...

To było bardzo miłe. I już tego pierwszego wieczora zrozumieliśmy, że potrafi być bardzo ciepły, chociaż z pozoru wydawał się pełen rezerwy. Zresztą cień rezerwy cechował go zawsze, to była jakby ochrona jego własnej osobowości. Wątpię, żeby się przed kimś otwierał, a przecież kiedy czytałam potem jego wywiady, uderzyła mnie jego otwartość. Te wywiady są niebywale jasne i dogłębne zarazem. Widać z nich, jak zależało mu na tym, by powiedzieć, co sądzi o swojej muzyce i o muzyce w ogólności. Nawet nie można nazwać tego sądami, to był jakiś kompletny świat ułożony przez niego. Dokładnie wiedział, czego chce i do czego dąży. Spotkaliśmy go w momencie, kiedy już był człowiekiem